

Agnieszka Hałas
OSTATNI RAZ



RW2010

AGNIESZKA HAŁAS

OSTATNI RAZ

Pierwodruk: „Science Fiction” nr 38/2004

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Okładka Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

*He's seen in iron environments
with plastic sweat out of chiselled slits for eyes...*

(Bauhaus)

Brudny, brzydki pokoik. Liszaje na ścianach, śmieci walające się po kątach. Przez szpary w okiennicach dolatują z zewnątrz znajome odgłosy przedmieścia – skrzypienie wozów, szczekanie psów, pokrzykiwania dzieci... A może nie, może to wszystko złudzenie, może to tylko krew boleśnie dudni pod sklepieniem czaszki.

Zimno rozpełzające się po wszystkich zakamarkach ciała. Kontury sprzętów zasnuwają się mgłą. Już wiesz, że nie zostało ci dużo czasu. Minuta, może dwie...

Nigdy nie przypuszczałeś, że tak się wszystko skończy.

Na każdy z możliwych sposobów, owszem. Ale nie tak.

* * *

Pachołkowie bali się jej, to pewne. Ilekroć kierowała wzrok na któregoś z nich, widziała niemal, jak z wnętrza porów wypęła na skórę lepki miazmat strachu. Cuchnęli tym strachem obydwoj, do ich liberii przylgnęła – jak śnież – kwaśna, nieświeża woń.

Marislei też się bała, ale robiła wszystko, żeby to ukryć. *Nigdy nie uda ci się pokonać strachu*, powtarzali niegdyś jej nauczyciele na Wyspie Skorpionów, kiedy jeszcze była Marislei ar Shiath – przyszłą wojowniczką Elity i służką srebrnej magii. *Nigdy go w sobie całkowicie nie zabijesz... ale możesz go kielznać, trzymać pod kontrolą. Kryj głęboko swój strach, dziecię Zmroczy. Nigdy nie pozwól, by inni dostrzegli u ciebie słabość.*

Gdy prowadzono ją – ze związanymi rękoma i zasłoniętymi oczami – przez niekończący się labirynt korytarzy, nie opierała się. Dopiero gdy zdarto z jej głowy czarną szmatę, a ją samą wepchnięto do maleńkiego, pozbawionego okien

pomieszczenia, w którym pachniało piżmem i czymś nieuchwytnie owadziim, zaczęła drżeć.

Kiedy zobaczyła, kto spoczywa wśród stosu poduszek na wyściełanej otomanie pod przeciwległą ścianą. Kiedy napotkała znajome spojrzenie trzech par żółtych oczu.

– Witaj – powiedział Król Pająk. – Dawno nie gościłaś w mych skromnych progach.

Potężna bryła jego cielska majaczyła w półmroku; człekokształtny tułów, osiem odnóży, rozdęty czarny odwłok. Na poczwarnym obliczu, tym straszniejszym, że zaskakująco podobnym do ludzkiego, malował się wyraz głębokiego zadowolenia. Popijał wino, zagryzając serem pleśniowym i chrupiącym ciemnym chlebem. Na małym stoliku błyszcząły talerze, karafki, srebrne sztuce. Popołudniowa przekąska. Dwie niewolnice przykucnęły w nogach otomany, czekając na rozkazy.

– Daruj sobie uprzejmostki, Splatający Sieci – warknęła Marislei. Ilekroć spoglądała w jego stronę, przesywał ją dreszcz, ale postanowiła udawać hardą, przynajmniej z początku. Niech nie sądzi, że podporządkowała się bez reszty jak tyłu innych. – Czego tym razem oczekujesz?

– Niecierpliwa, jak zawsze. – Odmieniec cmoknął z dezaprobatą. – To wada. Walcz z nią. Potrafi przysporzyć kłopotów.

Już je mam, pomyślała.

– Moi słudzy donoszą mi, że szykowałeś się do ucieczki – ciągnął spokojnie, niemalże ojcowskim tonem. – A twoje zobowiązanie nie zostało jeszcze wypełnione. Złamałaś naszą umowę, Marislei. Wiesz, co za to grozi?

– Nie ukarzesz mnie, Splatający Sieci. – Zmusiła się, by nadać głosowi pewność, której wcale nie czuła. – Nie zdążyłam wyruszyć. Nie wiecie, dokąd zamierzałam jechać. Nic na mnie tak naprawdę nie macie, pomówienia i pogłoski to za mało. – *Oby to była prawda*, modliła się w duchu. – Nigdy dotąd cię nie

zawiodłam, panie. Próbujesz mnie nastraszyć, bo znów jestem ci potrzebna i chcesz mieć pewność, że dam z siebie wszystko, byle ułagodzić twój gniew... Mam rację?

Cios spadł bez ostrzeżenia; gruba na trzy palce, lepka nić wyprysnęła z półmroku, wijąc się jak żywa. Marislei nie zdążyła się uchylić i ból ukąsił drapieżnie, szarpnął każdym nerwem.

Nie krzyknęła. Ostrożnie pomacała nabrzmiewającą na policzku pręgę.

– Mógłbym cię zadusić jak muchę – zasyczał, pochylając się Król Pająk. – Mógłbym kazać, by powieszono cię głową w dół na dziedzińcu i biczowano, póki nie wyzioniesz ducha. Albo zamknąć w klatce z tuzinem harpii. Albo tu i teraz wyssać z ciebie krew. Chciałaś uciec, to oczywiste, a ja nie toleruję samowoli u moich sług. Świetnie o tym wiesz.

Jedna z niewolnic dołała mu wina. Upił łyk i mówił dalej.

– Już prawie dwanaście miesięcy minęło, odkąd zaciągnęłaś u mnie dług życia, ślicznotko. Kiedy go spłacisz, pozwolę ci odejść, zgodnie z umową. Na razie należysz do mnie, trwasz przy mnie i wykonujesz moje rozkazy.

Nie odzywała się, czekała cierpliwie, aż herszt przestępców znudzi się i przejdzie do sedna sprawy. Doczekała się.

– Istotnie, mam dla ciebie zadanie. To ważna sprawa, zbyt ważna, bym ryzykował powierzenie jej komuś nieodpowiedniemu. Służy mi wielu, ale tylko jedna osoba terminowała pod okiem mistrzów z Wyspy Skorpionów. – Końcem odnóża pogładził tatuaż na jej szyi. Zmrużył ślepią i krępujące ją sznury rozplotły się same, opadły na posadzkę. – Nikt nie jest bardziej odpowiedni od ciebie.

Marislei zacisnęła usta. Zaczynała domyślać się, o co chodzi. Ze wszystkich sił pragnęła, żeby podejrzenia okazały się błędne.

– Co to za zadanie?

– Zadasz śmierć.

– Nie! Ja...

Pod wpływem jego wzroku słowa uwięzły w gardle.

– Wydaję ci rozkaz, Marislei. Spisz się dobrze, a zapomnę o twoim... drobnym wykroczeniu. Rozumiesz? To szansa. Nie zmarnuj jej, dziewczyno. Drugiej nie otrzymasz.

– Kto? – spytała bez tchu.

Zamiast odpowiedzieć, Król Pająk skinął na niewolnicę.

– Laylo, przynieś Zwierciadło N'hel.

Po chwili trzymał okrągłe lusterko z białego metalu. Jego powierzchnia, choć idealnie gładka, była mętna, jakby wewnątrz osiadła warstewka mgły. Na rączce wyryto dziwaczne znaki.

Odprawił gestem obie niewolnice. Gdy wyszły, zaczął mamrotać pod nosem formuły w języku magów.

– N'hel, duchu o bystrym spojrzeniu, pokaż mi mego wroga! – zażądał w końcu.

Tafla zwierciadełka zamigotała i mgła rozwiała się. Smugi pastelowych barw falowały przez chwilę, nim ułożyły się w obraz. Postać.

Marislei wzdrygnęła się. Mężczyzna, kimkolwiek był, został upiornie okaleczony. Nie miał nosa, a większą część jego twarzy pokrywały pomarszczone, sine blizny. Przykurcze sprawiły, że wargi wywijają się na zewnątrz, nadając mu wygląd potwornego gargulca. Prawe oko było ślepe, zbiegłe. Pośrodku czoła wypalono piętno w kształcie, jakżeby inaczej, pajęczyny.

– Z Wyspy Skorpionów, tak jak ty – powiedział beznamiętnie Król Pająk. – Odrzucony przez srebrnych magów przed końcem szkolenia, tak jak ty. Służył mi kiedyś. Na swoje nieszczęście ośmielił się działać na moją szkodę. Ukaralem go tak, jak widzisz, i wygnałem z miasta. Przeżył, ale później przez długie lata ukrywał się gdzieś, z dala od ludzi. Znikł z oczu moim szpiegom i byłem pewien, że nigdy więcej o nim nie usłyszę. Myliłem się. Kilka dni temu doniesiono mi, że pojawił się tu, w Othlonie. Nosi maskę z symbiontów, ale moi ludzie rozpoznali go pomimo to. Ich zdaniem powrócił, by dokonać zemsty. Bardzo melodramatyczne... i bardzo głupie. – Poruszył lusterkiem i zmasakrowane oblicze zniknęło, a jego miejsce na mgnienie

oka zajęła szczerząca zęby trupia czaszka. Potem metal zmętniał na powrót. – Jeszcze dzisiaj dowiesz się, gdzie przebywa i którędy chadza. Reszta należy do ciebie. Masz siedem dni, ani więcej, ani mniej. – W jego głosie ponownie zadźwięczały ostrzegawcze nutki. – Nie zawieź!

Znów powtarza się schemat, jęknięło coś w jej w myślach. On – twój pan, i ty – marionetka w jego rękach, tańcząca tak, jak ci zagra... Dlatego że rok temu pozwoliłaś, by jego ludzie wyratowali cię z opresji, a on zażądał zapłaty... Dopiero później zorientowałaś się, że wszystko było ukartowane z góry, że to on wynajął zbirów, którzy na ciebie napadli. Bo potrzebował jeszcze jednego ogara w psiarni, jeszcze jednego ostrza w zbrojowni... Rozsnuł sieć, a ty wpadłaś w nią; i wykonujesz bez sprzeciwu jego polecenia... stwora, który włada czarną stroną tego miasta, przed którym korzy się tu każdy rzezimieszek i każda dziwka...

I teraz zabijesz dla niego. Zrobisz to, bo nie masz wyboru. Bo chcesz żyć.

Do diabła z tym wszystkim! Wrócić jak najszybciej na kwaterę, odszukać w skrzyni torebkę z żółtym proszkiem, wartą tyle, co sztylet z najlepszej nedgvarskiej stali. Podwójna dawka od razu, jak najprędzej, byle zagłuszyć ten przeklęty skowyt w mózgu...

Król Pająk przypatrywał się jej uważnie.

– Podejź tu – rzucił. Marislei nie zareagowała. Pochwycił ją i przyciągnął do siebie. Jego oddech załatywał winem i gnijącym mięsem. Zacisnąwszy powieki, bez powodzenia usiłowała odwrócić głowę.

– Potrzebuję cię wiernej, nie wąpiącej – wymamrotał. Coś wilgotnego dotknęło jej twarzy; zimna kleistość jadu, błyskawicznie wnikającego w skórę. Ciało nagle stało się wiotkie, jakby z mięśni uciekła cała siła. Myśli ogarnął chaos, policzki paliły, w ustach gęstniał gorzki, przykry smak... I znienacka napłynęło uniesienie, tak potężne, jakby złoty płomień rozlał się po wszystkich zakamarkach umysłu.

Marislei odetchnęła głęboko. Już wiedziała. Przypomniała sobie.

Służy z własnej woli najlepszemu panu, jakiego mogłaby mieć. Potężny, sprawiedliwy, nigdy nie pozwoli, by spotkała ją krzywda. Spełnianie jego poleceń to zaszczyt.

Uśmiechnęła się przez łzy i Król Pająk uśmiechnął się również.

– Zrobisz to dla mnie, maleńka. Zadasz śmierć.

– Tak, Splatający Sieci – szepnęła. – Zrobię to dla ciebie.

* * *

Miasto jak zawsze wydawało mu się ohydne. Zbyt hałaśliwe, zbyt pełne kontrastów. Trupiobiałe fasady domów, bazyry pełne zgiełku i brudu, kapiący od przepychu pałac namiestnika... a ponad tym wszystkim skwar, od którego zaćmiewały się myśli, i nieznośnie słodki zapach róż.

Pąsowe róże *tir-tavei* kwitły o tej porze roku we wszystkich ogrodach Othlonu. Valdey nienawidził ich woni.

Idąc przed siebie rozprężonymi słońcem ulicami, nie zwracał uwagi na turkot powozów i krzyki przekupek, na nagabywania żebraków, czepiających się jego odzieży. W tak gorący dzień ciężki skórzany płaszcz i nasunięty nisko kaptur przyciągały wiele ciekawskich spojrzeń, ale o to też nie dbał. Osłonięty czuł się pewniej. Siła przyzwyczajenia.

Dziewczyna wynurzyła się z nienacka z tłumu kłębiącego się wokół straganów na targowisku i pociągnęła go beczelnie za rękaw. W pierwszym odruchu chciał ją odepchnąć, nie zrobił tego jednak.

– Chcesz wody zapomnienia? – Jej uśmiech był wyćwiczony, sztuczny jak u manekina; rozciągnięcie warg i nic poza tym. – A może nieco *utalhixtal* albo królewskiego grzyba? U mnie są tanie jak piach.

– Nie.

– A może jednak?

– Nie.

Wzruszyła ramionami; znudzone ślepka bez ustanku przeczesywały cizbę w poszukiwaniu następnych potencjalnych klientów. Valdey przyjrzał się jej bez zainteresowania. Chuda i spalona słońcem na brąz, wyglądała na jakieś szesnaście, siedemnaście lat. Miała na sobie opończę z czarnej wełny, znoszoną i pokrytą kurzem. Spod niedbale zawiązanej chustki wymykały się kosmyki pozlepianych włosów. Pospólstwo.

– Nieładnie tak kogoś zbywać, przyjacielu. – Uśmiechnęła się znowu, nie bardziej szczerze niż za pierwszym razem. – Powiedz, próbowałeś już kiedyś podobnych frykasów? Królewski grzyb, by ożywić szarość ulic, *utalhixtal* na miłe sny...

– Nie. – Strząsnął wreszcie jej dłoń, jednak o wiele delikatniej niż zamierzał. – Daj mi przejść!

Zachichotała pogardliwie, ale odstąpiła i tłum rozdzielił ich w okamgnieniu; czarna opończa zniknęła w rojowisku barwnych szat i rozkrzyczanych głów. Valdey odchrząknął i splunął. Kurz drażnił mu gardło.

Nie pozbył się jej na długo. Gdy tylko opuścił targowisko, wyrosła przed nim jak spod ziemi.

– Kilka ziaren *lome-lome*? – Bez powodzenia usiłowała wcisnąć mu w rękę niewielki skórzany woreczek. – Po dwie drachmy uncja. Przedni proch, mówię ci. Czyściutki jak niemowlę. Tak mocny, że nie sposób go wciągać do nosa ani brać do ust, zanadto piecze. Sama tego używam.

Valdey dopiero teraz zwrócił uwagę na jej przedramiona i nadgarstki, pokreskowane dziesiątkami wąskich blizn. Niektóre wyglądały na świeżo zagojone. Wzdrygnął się.

– *Lome-lome*, kotku! Kupujesz?

Stała tak blisko, że czuł zapach jej potu. Pod kapturem i maską jego własna zaogniona od upału skóra zaczęła paskudnie swędzieć. Niespodziewanie dla siebie samego Valdey poczuł złość.

– Nie rozumiesz po ludzku, dziecino? Odczep się ode mnie!

– Już widzę, czego ci potrzeba – stwierdziła poważnie, cofając się o krok. – Chcesz wiedzieć?

Nie czekając na odpowiedź, uniosła obie ręce, rozcapierzyła palce i wolno, wolniutko przesunęła nimi wzdłuż twarzy. Valdey zamarł.

– No? – rzuciła z triumfem. – Mam rację?

Zgrzytnął zębami. Zauważyła, na wszystkie demony Otchłani! Zauważyła...

Zmusił się, żeby mówić spokojnie, bez śladu emocji.

– Owszem – potwierdził krótko. – Zgadłś. A teraz mów prawdę. To rzuca się w oczy?

– Oczywiście – odparła natychmiast. – A co myślałeś? Jedno spojrzenie na ten płaszcz i kaptur i każdy głupi widzi, że coś jest z tobą nie tak. Chociaż jeśli chodzi akurat o twarz... – Zastanowiła się, lustrując go krytycznie. – Nie. Niespecjalnie. Zwykły przechodzień niczego by się nie domyślił. Ale wprawne oko załapie, zwłaszcza z bliska. Nie zgadza się mimika, odcień cery... – Wspięła się na palce i nim zdążył zaprotestować, pogłaskała go po policzku; symbiotyczna powłoka zapulsowała nieznacznie pod jej palcami, swędzenie w tym miejscu nasiliło się, a potem znikło. – Oj. To, co nosisz, nie jest już nowe, prawda? Tak myślałam. Stare maski łatwiej zauważyć... – Zamilkła, jakby coś rozważając. – Jeśli chcesz, żeby ludzie nadal niczego się nie domyślali, powinienes ją jak najszybciej wymienić.

– Ejże... Czy ja dobrze zrozumiałem? – Valdey rozejrzał się odruchowo, ale uliczka była pusta, okiennice w domach pozamykane. Z oddali dolatywał stłumiony harmider targu; w pobliżu ciszę mąciło tylko bzyczenie much. – To miała być propozycja? W Othlonie za handel kradzionymi twarzami grozi stos!

– Wiem. – Teraz mówiła chłodno, rzeczowo; żadnego błaznowania. – Słuchaj, jak się schodzi od targu warzywnego w dół ku Wschodniej Bramie, zaraz po lewej stronie stoi taki stary dom, czynszowa kamienica. Będę tam czekać dzisiaj o zachodzie słońca. Pokój na poddaszu. Żadnych świadków. Przyjdziesz?

Zawahał się, potem skinął głową.

* * *

Wyznaczyła spotkanie na przedmieściu, gdzie zabudowa była najbardziej chaotyczna, i Valdey solidnie się naszukał, zanim trafił we właściwe miejsce. Na podwórku wynędniała kobieta rozwieszała wypraną odzież, a właściwie – szmaty. Obok kilku urwisów grało w kamyki. Na widok wysokiej postaci w skórzanym płaszczu pierzchli niby wróble.

Na dworze cienie zaczynały się już wydłużać, ale pokoiak na poddaszu okazał się istnym piecem; nagrany w ciągu dnia dach oddawał teraz ciepło. Śmierdziało pluskwami. Na domiar złego młoda handlarka zamknęła jedyne okno i szczelnie zasłoniła je płachtą.

– Za dużo w okolicy ciekawskich – wyjaśniła. Już bez opończy, ubrana tylko w koszulę i spódnicę, siedziała pod ścianą i delikatnie, niemal pieszczotliwie nacierała cielisty przedmiot białą mazią z glinianego słoiczka. Co jakiś czas zwilżała palce w naczynku z wodą.

– Ta mogłaby być dla ciebie – rzuciła, gdy Valdey podszedł bliżej. Podniosła to, co trzymała w rękach. Twarz młodego mężczyzny; wysokie, znamionujące inteligencję czoło, regularne rysy. Mleczne krople spływały po napiętej skórze. – Albo któraś z tamtych. – Wskazała stojący w kącie kufer z uchylonym wiekiem.

Valdey zajrzał do środka. Spoczywały każda w oddzielnej przegródce, poukładane starannie niczym kapelusze; wszystkie jednakowo cieliste i gładkie, połyskujące w półmroku warstewką wilgoci.

– Ile kosztują?

– Siedemdziesiąt drachm sztuka. To niewiele, wierz mi. W Othlonie i tak nie ma na nie popytu. Zakaz namiestnika robi swoje. To nie miasta nad Zatoką Snów, gdzie panujący są kukielkami w rękach srebrnych magów, a ci pozwalają ludowi na

wszystko, co nie zagraża Zmroczy... Tam przez okrągły rok trwa karnawał, ludzie wolą na co dzień maski od swych prawdziwych obliczy.

– Byłaś kiedyś nad Zatoką Snów? – spytał ot tak, by podtrzymać rozmowę.

– Owszem. Urodziłam się w Shan Vaola. – Nawet nie spojrzała na niego; z uwagą wyglądała drobne, niemal niedostrzegalne nierówności na symbiotycznej powłoce.

– I co, podobało ci się tam?

– Niewiele pamiętam. – Ostrożnie oderwała jakiś odstający strzępek. – Ojciec zmarł i wyjechaliśmy, kiedy byłam ot, taka... Ale maski zapamiętałam. Na piąte urodziny dostałam papierową, taką malowaną. Wydawało mi się, że jest żywa, bałam się spać z nią w jednym pokoju, prosiłam, żeby ją chowali do skrzyni... – Zaśmiała się ochryple, w nieco sztuczny sposób. Oczy jej błyszczały. Valdey doszedł do wniosku, że dzierlatka rzeczywiście nie żałuje sobie specyfików, które mu zachwalała na ulicy. – Ale co tam papier, jedwab, porcelana, wszystko to pestka w porównaniu z symbiontami, co? Zwłaszcza z tymi modelowanymi na zwłokach, ich nic nie przebija! Przyjrzałeś się kiedyś swojej, tak z bliska? Są brwi, rzęsy, rumieńce, wszystko. Wiesz, opowiadają, że zakaz zakazem, ale sam namiestnik posiada ponoć maskę, jedną jedyną, która jest podobizną jakiejś jego dawnej kochanki...

– Poważnie? I co, nosi ją? – Valdey uśmiechnął się mimo woli. Nie miał pojęcia, jak wygląda namiestnik, ale odruchowo wyobraził sobie starszego, otyłego dostojnika, jak usiłuje ukryć fizjonomię pod twarzą młodej kobiety.

– No co ty? Nie nosi, tylko przechowuje w słoju z płynem i wpatruje się w nią po nocach. Król Pająk mu ją sprowadził na specjalne zlecenie, bo nie wiedział dla kogo to, wiesz, kontaktowali się przez tuzin pośredników, jak to w takich razach bywa...

– Jak powiedziałaś? Kto?

– Co kto? – nie zrozumiała.

– Kto sprowadził maskę namiestnikowi?

– Król Pająk – powtórzyła z odrobiną zdziwienia. – Nie słyszałeś o nim? To miejscowa szycha. Odmieniec. Dorobił się na przemyście... Teraz rządzi gildiami przestępczymi stąd aż po wybrzeże.

Więc teraz dzierzysz w swym ręku także handel maskami. Kto by pomyślał. Interesy się kręcą, co? Przełknął ślinę. Blizny paliły jak płomień.

– Znasz Króla Pajaka?

– Żartujesz? No chyba że ze słyszenia, ze słyszenia zna go tu każdy dzieciak i każdy dziadyga. Mówią, że ma swoje oczy i uszy w każdym zakątku. Z tym że rzadko miesza się w życie prostych ludzi. Odwrotnie niż namiestnik i jego urzędasy, choć połowa z nich i tak siedzi w kieszeni Króla Pajaka. Ale ciebie pewnie nie interesuje polityka, skoro nie jesteś stąd. – Zawinęła twarz w kawałek płótna, odłożyła ostrożnie na bok i wzięła z kufra następną. – To co, zdecydowałeś już, którą weźmiesz? Nie zamierzam tu siedzieć do wieczora. Mam ci pomóc wybrać?

– Nie trzeba. Daj mi pierwszą z brzegu.

– Poważnie? – zdziwiła się. – Jak to? Wszystko ci jedno?

– Tak. Daj byle którą.

– Czemu? Zupełnie cię nie obchodzi, jak będziesz wyglądać? – Popatrzyła na niego przenikliwie i nagle spoważniała. – Aha... czekaj, chyba rozumiem... Oj. O cholera.

– Co rozumiesz, moja panno?

– Ty ich nie nosisz dla kaprysu, ty musisz... prawda? I wszystko jedno jaka, byle... normalna? Byle kryła? Tak?

Skinął głową.

– Można spytać, co ci się stało? – spytała po chwili milczenia.

– Miałem... – zawahał się – ...wypadek. Byłem ranny...

– Tak? I co?

– Nic. Przeżyłem. – Podrapał się w podbródek. – Tyle tylko że nie chciałyś zobaczyć, jak naprawdę wyglądam.

– Przeciwnie, chciałabym zobaczyć. A nawet muszę. Łatwiej mi będzie dobrać maskę, wiedząc, co ma kryć.

– Nie musisz wiedzieć. Wybierz coś na wycucie, nie musi idealnie pasować.

– Ejże, co ty? – Znowu zaniósła się tym znarkotyzowanym chichotem. – Że zemdleję, że się porzygam, czy jak? Chłopie, to moja praca! Nie masz pojęcia, jakie ja już rzeczy oglądałam!

– Nie ma mowy – powtórzył stanowczo.

– Dobra, jak nie chcesz, to nie, bez łaski. – Dłonie handlarki wznowiły monotony cykl nacierania i zwilżania. – Szkoda, że nie dbałeś o starą maskę lepiej, posłużyłaby ci dłużej. O nie trzeba się troszczyć, wiesz? Myć ostrożnie, natłuszczać oliwą, masować, żeby się nie kurczyły. Nie zdejmować bez potrzeby. Najlepiej wcale nie zdejmować. Maski to wrażliwe istoty. Przywiązują się do właściciela.

– Koszałki-opałki. Symbionty to mięcho, nic więcej.

– Nie chcesz, nie wierz, twoja sprawa. – Wzruszyła ramionami. – A raczej twoja strata.

– O maskach wiesz sporo, trzeba przyznać. – Valdey popatrzył na nią bystro. – A może ty też...

– Wyglądam na to?

Musiał przyznać, że nie. Jej okolony szarawymi kosmykami pyszczek był naturalny aż do bólu.

– Nie musisz się tak we mnie wpatrywać – dorzuciła, krzywiąc usta.

Valdey znów się zirytował.

– A bo co? Boisz się, że ci ubędzie urody od mojego wzroku?

Dziewczyna zignorowała go. Wytarła ręce w koszulę, wstała.

– No nic. Miło się rozmawiało, ale czas ucieka. – Schyliła się nad kufrem. – Co powiesz na tę tutaj?

Valdey pochylił się również – i nagle zdrętwiał. Zobaczył.

Tatuaż na jej szyi.

Skorpion. Srebrzysty skorpion... Zasłonięty iluzją, ale nieudolnie. Aż nadto znajomy znak.

Mała wyczuła, że się zorientował. Nie odezwał się, nie wykonał najmniejszego ruchu, a mimo to odgadła, że koniec z kamuflażem. Wiedział.

Nie zamierzała uciekać. Upuściwszy trzymaną maskę, wycofała się tylko w kąt, przywarła plecami do ściany. Valdey też się cofnął i śledził ją czujnym wzrokiem.

– Tak sobie właśnie myślałem, że coś tu nie gra – rzucił. – Za gładko się wyrażałaś jak na dziecko ulic, moja panno. O wiele za gładko.

Milczała.

– To nie magowie Elity cię przysłali. Oni wolą wysługiwać się golemami niż żywymi ludźmi. A zresztą nigdy nie miałem z nimi zatargów. Dla kogo pracujesz?

– Spodziewasz się, że ci powiem? – Zachichotała znowu, tak beztrosko, jakby uważała całą sytuację za świetny żart. Valdeya bardzo ciekawiło, co i w jakiej ilości zażyła, bo nie wierzył, by mogła być aż tak dobrą aktorką. A może?

– Nie – odpowiedział spokojnie, grając na zwłokę. – Ale i tak się domyślam. Król Pająk, prawda? Na pewno on. W tym mieście nie mam innych wrogów. Szukałem go, ale widzę, że znalazł mnie pierwszy... Powiedz, co ci kazano zrobić? Szpiegować mnie? Zabić?

Nie odpowiedziała. Przesunął się o krok, blokując wyjście.

– No i co teraz? Będziemy walczyć? Znam wszystkie sztuczki, jakich mogłabyś użyć. Nosimy taki sam tatuaż, wiesz? – Dotknął szyi. – Ta sama szkoła, dziewczynko z targowiska.

– Wiem. – Stała tam z dziwną, na wpół nieobecna miną. – Jestem Marislei.

– Co?

– Na imię mi Marislei.

– Marislei, w takim razie. Co powinienem z tobą zrobić, Marislei? – W ukrytej pod płaszczem lewej ręce trzymał już sztylet. Ona miała dłonie na widoku i puste. Wiedział, że zdąży spostrzec każdy podejrzaną ruch. – Cały kłopot w tym, że

zaczynałem cię lubić. A tu taka niespodzianka... – Wyraz jej twarzy mógł oznaczać wszystko. – Wiesz, Splatający Sieci nie jest najlepszym z panów. Dużo wymaga i niewiele daje w zamian. Może dasz sobie z nim spokój i przyłączysz się do mnie?

Ból spadł zniemacka jak piorun; zaczął się gdzieś z tyłu głowy i w ciągu sekundy opanował całe ciało. Kompletnie zaskoczony Valdey z jękiem zgiął się wpół. Przed oczami gęstniał mu czerwony opar.

Nie dotknęła go. W ogóle się nie poruszyła. Mógłby przysiąc, że tak było. To on nagle stwierdził, że osuwa się na ziemię. Wyczuł raczej, niż zobaczył, jak Marislei podchodzi, jak klęka obok.

– Ja też zaczynałam cię lubić, Valdey – szepnęła. Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy w jej głosie żal. Ale nie był pewien. – Niestety. Rozkaz to rozkaz.

Wymacała za uchem krawędź maski i szarpnęła wprawnie. Symbiotyczna powłoka złuszczyła się łatwo. Marislei beznamiętnie popatrzyła na to, co znajdowało się pod spodem.

– Przepraszam. Musiałam się upewnić...

Z roztargnieniem zmięła maskę w dłoniach i odrzuciła ją. Wypowiedziała śpiewnie kilka słów w języku magów i Valdey znów poczuł, jak jego ciało przesywa zimny prąd, zatruty lód.

Szum w uszach. Narastający bezwład... Dziewczyna zaśmiała się.

– Nazywają to dławieniem duszy... Widzisz, odkąd opuściłeś Wyspę Skorpionów, sporo się tam zmieniło. Mnie nikt nigdy nie uczył walczyć żelazem, lepsza byłam w innych... sztuczkach. Takich, jakie za twoich czasów były zarezerwowane dla możnych magów. – Odgarnęła pasmo włosów za ucho. Drobnym, zwyczajnym ruchem... Wydawał się trwać całe wieki. – Uznali, że nie jestem dość zdolna, by ukończyć szkolenie... odeszłam stamtąd w piętnastym roku życia... ale coś niecoś jeszcze pamiętam. Jak widzisz.

Zimno. Jej głos dobiegający z góry i z daleka, jak dzwoniące sople.

– Cóż mogę powiedzieć... Przykro mi. Naprawdę.

Spazm minął równie nagle, jak się zaczął. Valdey na moment odzyskał zdolność mówienia.

– Idiotko... – wykrztusił. – Sądysz, że warto służyć Splatającemu Sieci? A wiesz, jak długo ja dla niego pracowałem? Dziesięć lat! Jak pies, byłem na każde skinienie! I co? Jeden jedyny raz zdarzyło mi się nie dopełnić rozkazu, a co na to mój pan? Pięknie mnie wynagrodził za wierną służbę, nie sądzisz? Z tobą będzie tak samo. Zobaczysz...

– Zamknij się! – krzyknęła. – Milcz, do diabła!

Jej oczy zwięzły się nieładnie. Wyszepiała coś, czyniąc taki gest, jakby przerywała nic.

Tym razem nie bolało, ani trochę. Valdey ujrzał tylko, jak otaczający go półmrok gęstnieje w aksamitną, nieprzebitą ciemność.

* * *

Marislei podniosła się chwiejnie. Natychmiast zakreśliło jej się w głowie, musiała chwycić się framugi, żeby nie upaść. Dławienie dusz wyczerpywało ją niczym upuszczanie krwi.

Jej wzrok padł na maski w kufrze. Własnoręcznie nasmarowała każdą z nich maścią z *utalhixtal* w ilości, która powaliłaby konia. Wystarczyło, żeby którąś założył... Przy odrobinie szczęścia zabiłby się sam i oszczędził jej kłopotu.

Na nią *utalhixtal* już w ogóle nie działało. Zdażyła się uodpornić. Na tę i wiele innych trucizn.

Zacisnęła zęby, walcząc z falą mdłości. Już nie wiedziała, co jest gorsze: fizyczne skutki dławienia duszy czy słowa, przy każdym ruchu odzywające się w głowie... Słowa, z których każde rozszczepiało się momentalnie na nieskończoną ilość ech. Gniewne słowa, pełne wyrzutu.

Zawiodłaś. Zawiodłaś. Zawiodłaś!

– Nie! – krzyknęła. Gwar rósł, potężniał... Po policzkach pociekły łzy. – Przecież wykonałam rozkaz! Uciszcie się! Zostawcie mnie!

Ale głosy za nic nie chciały ucichnąć. Teraz dolatywały ze wszystkich stron, osaczały ją. Skuliła się jak kociak.

Przeklęty mały tchórze! – dudniło i szumiało wokół. – Czemu się podporządkowałaś? Tak bardzo zależy ci na życiu? Że zrobisz wszystko, byle ocalić swoją parszywą skórę?

Jak mogłaś, Marislei?

Jak mogłaś?

Jak mogłaś jak mogłaś jak mogłaś jak mogłaś...

– Służę! Spłacam dług życia... Przestańcie mnie dręczyć! Zostawcie!

Ich zwielokrotniony chichot – jak zgrzyt żelaza po szkłe... Uderzyła się pięścią w twarz, raz, drugi, trzeci. Ból nieco ją otrzeźwił. Drżącymi palcami wymacała w kieszeni woreczek z *lome-lome*. W powietrzu rozszedł się znajomy zapach lukrecji. Następne ruchy wykonywała jak w transie, którego nawet głosy nie były w stanie przerwać. Brzytwa owinięta w kawałek natłuszczonej skóry; wyjąć z kieszeni, rozwinać; płytkie nacięcie po wewnętrznej stronie przedramienia; wetrzeć w ranę nieco żółtego proszku... Narkotyk nie miał tej siły co jad Króla Pajaka; aby zadziałać, musiał dostać się bezpośrednio do krwi. Ale działał skutecznie. W chwilę po zażyciu świat wypełnił się jasnością, barwy stały się niewiarygodnie jaskrawe, a głosy odpływały, zamazywały się w niewyraźny bełkot... I tylko łzy nie chciały przestać płynąć, ich smak uporczywie przypominał o tym, co tak bardzo pragnęła wyrzucić z pamięci.

– To był ostatni raz, Valdey – wymamrotała w pewnej chwili. – Już nigdy nie będę narzędziem w cudzym ręku. Nigdy więcej, żeby to szlag. Ostatni raz, przysięgam.

Kiedy działanie narkotyku zaczęło mijać, zmusiła się do wstania. Odszukała na podłodze porzuconą maskę. Pozbawione pożywienia symbionty zaczynały już

słabnąć, powłoka przybrała niezdrowy, siny odcień; ale kształt był w porządku, a tylko o to chodziło. Przykryła maską pokiereszowane oblicze trupa i wyszeptła formułę, której kilka lat wcześniej nauczono jej na Wyspie Skorpionów. Zakłęcie sprawiające, że obumierające symbionty zapuszczają korzenie głęboko, głęboko w ciało, a umarły i jego maska ostatecznie stają się jednym.

Ponownie usiadła pod ścianą. Głuchy chór w głowie przybierał na sile. Podciągnęła wyżej rękaw. Kolejne nacięcia – dość głębokie, by zboleć. Nieco krwi spłynęło do wnętrza dłoni. Pieczenie, gdy żółty proszek zetknął się z uszkodzoną skórą. Zaciskając zęby, wtarła go więcej. Potem jeszcze więcej.

Oślepnąć. Zdusić w sobie wszystko. Nie czuć. Nie czuć...

Rozbłyśki przed oczami; pączkujący świetlisty wzór, rosnący w górę i w górę niby spiralnie skrecona drabina; myśli i doznania zacierają się, giną wśród rozrastającej się mozaiki z lustrzanych odbić, we wszechogarniającym zapachu lukrecji... A jednak zapomnienie nie było zupełne. Nie mogło być zapomnienia. Nawet gdy stała się tylko bezimiennym strzępkiem cienia, dryfującym na oślep przez amfilady nieistniejących komnat – nawet wówczas ból towarzyszył jej nadal.

* * *

Tym razem przyjął ją w największej z sal. Pochodnie migotały czerwono na tle śnieżnych marmurowych ścian. W okrągłych wazach pyszniły się świeżo rozkwitłe *tir-tavei*. Pająkopodobny kształt spoczywał pośrodku podwyższenia strzeżonego przez pół tuzina uzbrojonych niewolników. Gdy podeszła, trzy pary żółtych oczu obrzuciły ją spojrzeniem pełnym uznania.

– A więc udało ci się. No, no. Pięknie, maleńka. Jestem z ciebie dumny.

Skłoniła się bez słowa.

– Przyjmij moje gratulacje. Dziś mija rok i jeden dzień, odkąd zaciągnęłaś u mnie dług życia. Właśnie skończyłaś go spłacać. Możesz odejść, jeśli chcesz.

Uniosła głowę, odwzajemniając jego spojrzenie.

– A zatem odchodzę.

– Jeśli chcesz – powtórzył. – Mam dla ciebie propozycję, Marislei. Być może cię zainteresuje.

– Nie sędzę.

– Zostań. – Miękki, aksamitny ton. – Co ty na to? Uczynię cię moim oficerem. Moją przyboczną. Zastanów się dobrze, wychowanko Wyspy Skorpionów. Nie składam takich propozycji byle komu.

– Nie – odparła spokojnie. – Nic z tego. Chcę odzyskać wolność, Splatający Sieci.

– W porządku.

Czy jej się zdawało, czy w głosie Króla Pajaka wyczuła cień rozczarowania? Nie dbała o to. Skłoniła się ponownie i zamierzała odejść.

– Marislei?

Zatrzymała się i w tym momencie strażnicy, do tej pory nieruchomi jak posągi, ożyli. Dwóch chwyciło ją za ramiona, trzeci za włosy, odciągając głowę daleko do tyłu. Zimna stal na gardle... *Głupia, głupia, głupia*, kołatało jej w głowie.

– Znowu okazałaś się nielojalna, Marislei. – Żółte ślepia płonęły, przewiercały ją na wylot. – Moi szpiedzy słyszeli twoją ostatnią rozmowę z Valdeyem. Słyszeli też, co mówiłaś później... i widzieli, co zrobiłaś ze zwłokami, zanim opuściłaś pokój. Przyznam, że z początku nie wierzyłem własnym uszom. Ty, ostrze w moim ręku, cierpiąca na wyrzuty sumienia? Marnująca czas na jakieś absurdalne rytuały miłosierdzia?

Milczała.

– Miałem cię za silniejszą. Czy może za słabszą... sam nie wiem. – Król Pajak sięgnął do najbliższej wazy, wybrał najładniejszą różę i przez chwilę wdychał jej woń. Potem dmuchnął między pąsowe płatki i róża zaczęła więdnąć w oczach. – Zdawało mi się, że mam na ciebie większy wpływ. A tymczasem po raz kolejny

okazuje się, że wystarczy dzień rozłąki, żebyś zapomniała, komu masz być wierna... Szkada, szkoda...

– To ty łamiesz słowo – szepnęła Marislei. Kręciło jej się w głowie. – Co z naszą umową?

Król Pająk poruszał różą tam i z powrotem jak batutą. Kwiat od góry do dołu pokrył się żółtawym nalotem, niczym chora skóra.

– Umowa-śmowa! Gdybyś została, znów mógłbym cię kontrolować. Kiedy jesteś blisko mnie, nie uciekasz. Zauważyłem to już dawno. – Zaśmiał się cicho. – Codziennie odrobina jadu, a wtedy służysz mi najwierniej, najlepiej jak potrafisz... Jednak ty nie chcesz zostać. A ja wiem, że gdy się ode mnie oddalisz, zyskam jeszcze jednego wroga. Nie mogę na to pozwolić. – Płatki róży skręcały się i czerniały. Jeden opadł, rozsypując się w popiół jeszcze przed zetknięciem z posadzką. – Oczywiście, że pamiętam o naszej umowie. Nie złamię jej. Zwrócę ci wolność. Tyle tylko że wcześniej zadbam, byś nigdy nie stała się dla mnie zagrożeniem, Marislei.

Zaszamotała się po raz ostatni, ale niewolnicy trzymali mocno. Uśmiechali się. Szykowała się rozrywka.

Król Pająk odrzucił kwiat i powoli spełzył z podwyższenia.

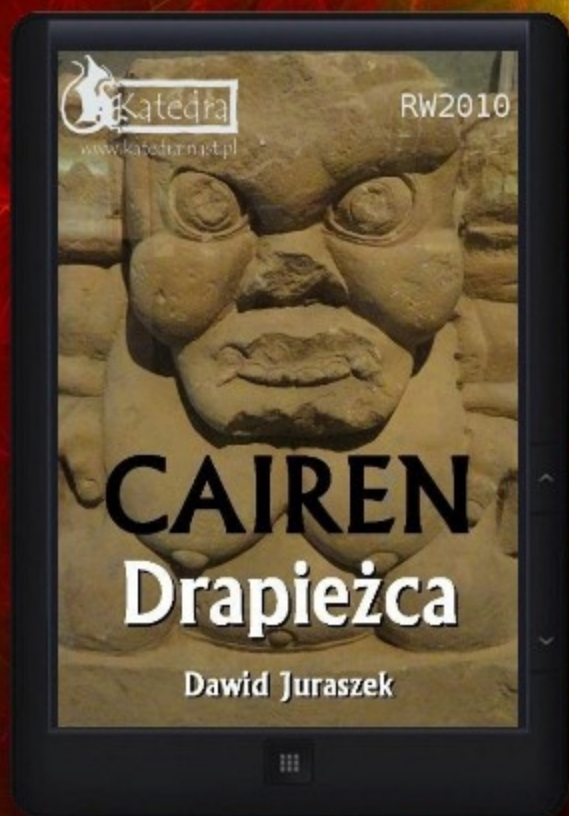
Autorka zaprasza na blog: <http://halas-agn.blogspot.com>. Znajdziecie tam miniartykuły z dziedziny magii, alchemii i historii medycyny, zdjęcia przyrody i zabytków, wiersze oraz inne ciekawe rzeczy.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń
na każdy czytnik**

**Pieć ma wiele obliczy, a wszystkie
one stanowią część planów Stwórcy.**

**Dwanaście opowiadań połączonych
wspólnym motywem Szeolu zabierze
was w podróż przez różne czasy i
miejsca – od współczesnej
codzienności po rubieże zaświatów.
Zachowajcie czujność. Demony
czyhają.**



**Gdyby Marco Polo był Conanem
Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!
Orientalna fantasy awanturnicza z
epoki fantastycznie sformatowanych
podbojów mongolskich, z napinaniem
muskulów i przymrużeniem oka.**

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

**szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!